

MARCIN DĘBICKI

Instytut Socjologii, Uniwersytet Wrocławski
<https://orcid.org/0000-0002-6510-0614>

Wracając do Babadag

Babadag revisited

Artykuł recenzowany / Peer-reviewed article

Abstract

This paper attempts to revisit one of Andrzej Stasiuk's most important books, *On the Road to Babadag*, in order to identify plots that, twenty years after its publication, can still be instructive. Firstly, it concerns (Central) European themes, seen in a literary-geopolitical context and through the prism of the idea of taking up such a topic at that time; secondly, it deals with the historical and cultural ontology of this part of the continent, which, although presented in the form of prose, has the potential to be a voice that transcends the sphere of literature; thirdly, it is a reflection on the town itself – its place on Stasiuk's imagological and literary map of "this part of Europe" and the meanings that could once (and can still) be attributed to this town; fourthly, it is a discussion of a more general ideological stratum of this writing, which is usually associated with it. All these circumstances result in a high, clearly marked qualitative rating which, in the author's opinion, can be fastened to this prose.

Keywords: Andrzej Stasiuk; Central Europe; On the Road to Babadag; Babadag

Abstrakt

Artykuł jest próbą ponownego spojrzenia na jedną z najważniejszych książek Andrzeja Stasiuka, *Jadąc do Babadag*, w celu zidentyfikowania wątków, które dwadzieścia lat po jej premierze wciąż mogą być pouczające. Chodzi, po pierwsze, o wątki (środkowo) europejskie, widziane w splocie literacko-(geo)politycznym i przez pryzmat zamysłu, by w tamtych czasach podjąć taki temat; po drugie, chodzi o historyczno-kulturową ontologię tej części kontynentu, która – choć ujęta w formie prozy – ma zadatki na to, by być głosem wykraczającym poza sferę literatury; po trzecie, chodzi o refleksję nad samą tytułową miejscowością – nad jej miejscem na imagologiczno-literackiej mapie „tej części Europy” Stasiuka i namysł nad sensami, jakie mogły wówczas (i mogą dziś) zostać wpisane w tę miejscowość; po czwarte, chodzi o wejście w dyskusję z ogólniejszą ideową warstwą tego pisarstwa, jaką zwykle się je opatrywać. Wszystkie te okoliczności skutkują wysoką, wyraźnie oznaczoną kwalifikacją jakościową, jaką – zdaniem autora – można przypisać tej prozie.

Słowa kluczowe: Andrzej Stasiuk; Europa Środkowa; Jadąc do Babadag; Babadag

O autorze

Marcin Dębicki – prof. UWr zatrudniony w Zakładzie Socjologii Pogranicza Instytutu Socjologii UWr, zajmuje się społeczno-kulturowym obliczem Europy Środkowej, ze szczególnym uwzględnieniem polskich sąsiedztw, w tym pograniczy; (współ)autor czterech monografii, ponad stu artykułów naukowych oraz kilkunastu esejów i szkiców publicystycznych poświęconych wspomnianym zagadnieniom.

Wracając do Babadag

Na 2024 rok przypadła dwudziesta rocznica przystąpienia Polski i siedmiu innych państw regionu do Unii Europejskiej. W tym samym czasie, dwie dekady temu, na półkach rodzinnych księgarń pojawiła się też szczególnego rodzaju książka: *Jadąc do Babadag*. Jej autor, Andrzej Stasiuk, zaproponował właściwie sobie spojrzenie na ontologię tej części kontynentu – jej mieszkańców, estetykę oraz los. Przesuwając przed oczami obrazy z tych minionych lat, uzupełnione o wrażenia z choćby punktowo odbytych wizji lokalnych, można chyba przyjąć, że oba wspomniane wydarzenia jawią się niczym literackie *yin* i polityczne *yang* (albo na odwrót). Jeśli więc myśląc o obchodach kolejnych rocznic unijnej akcesji, czujemy, że celebrowano ją nader skromnie i jakby pokątnie, rodzajem antidotum może być podróż w czasie – realna, literacka i retrospekcyjna, a przy tym niepozabawiona akcentów politycznych – do atmosfery tamtego czasu; niewolny od turbulencji lot nad Europą Środkową z międzylądowaniami w kilku niewiele mówiących szerszej publiczności miejscach, swoistych antydestynacjach.

To podróż w czasie także w tym znaczeniu, że i sam Stasiuk, ledwie kilka lat po wskrzeszonym (między innymi przez siebie) kolejnym renesansie środkowoeuropejskiej idei, zaczął stopniowo porzucać to złote runo, mając się różnych zajęć i obierając nieoczywiste kierunki. Uwznioślał, zachowując wszelkie proporcje, wschodnie Niemcy, które kilka lat wcześniej tak oto podsumował znad granicznej Odry: „Jak pies obwąchałem obcy rewir i poszedłem swoją drogą”¹; droga ta, ma się rozumieć, wiodła na południowy wschód. Uciekał w fikcję (czy może jednak w quasifikcję) ku stambulskiemu Taksimowi albo ku granicy na Bugu z czasu II wojny światowej. Zarzucał literackie sieci coraz dalej, tysiące kilometrów od swego Wołowca i polsko-słowackiej granicy, za którą uprzednio, w „epoce środkowoeuropejskiej” – jak sam deklarował – mógł już zacząć inaczej oddychać. A przy tym wszystkim poddawał inflacji ów tytułowy, w pewien sposób symboliczny imiesłów, zrazu nierozzerwalnie związany z Babadag – a to *Jadąc do Stambułu*, a to *Jeżdżąc z Vargą*². Wygląda na to, że również my, jego czytelnicy, najeździliśmy się w tym czasie śladami pisarza: wielu dotarło do Gönc, Raşinari, Babadag czy delty Dunaju. Najeździliśmy się, a jednak warto chyba – łącząc dwudziestą rocznicę wydania przypomnianej tu książki i polskiej akcesji do UE – raz

jeszcze zajrzeć do Babadag, tego zapisanego drukiem prostym i tego skrytego za kursywą.

Ramy niniejszego eseju i wypełniających go treści lokują w duchu kolejnego odczytania rzeczzonej prozy, ale i fizycznego doświadczenia tytułowej miejscowości, a więc zdarzeń ujętych wspólnie jako powrót do Babadag. Konceptyjnie rzecz ujmując, poniższe rozważania służą trzem celom: ukazaniu oryginalności spojrzenia Andrzeja Stasiuka na różne europejskości (środkową, zachodnią, unijną); podjęciu refleksji na temat tytułowej dla książki miejscowości jako nośnika określonych sensów literackich i osobowościowych samego prozaika; w końcu zaś – choć raczej na metapoziomie i nieco *implicite* – poprowadzeniu nici łączącej dwie Europy: unijną i stasiukową, splecione wspomnianą dwudziestoletnią perspektywą.

Ambicje te przeplatają się ze sobą w różnych miejscach eseju, w którym jednakże można wyróżnić także kilka bardziej szczegółowych wątków, porządkujących całą wypowiedź. Refleksję rozpoczynam na początku lat dwutysięcznych, zasadniczo niezbyt sprzyjających takim wynurzeniom, jak interesująca mnie tu książka, wszak przesiąkniętych twardą geopolityką o zgoła odmiennych wektorach cywilizacyjno-kulturowych. Następnie, niejako na zasadzie dopełnienia, ale i przekory względem powyższego wątku, staram się pokazać, że mimo wszystko mamy tu do czynienia z czymś znacznie większym niż literackie projekcje, wyobrażenia i zmyślenia na temat Europy Środkowej, skądinąd zresztą ochoczo przejęte przez część miłośników tej literatury. Kolejny punkt poświęcam rozważaniom, ufundowanym na własnych obserwacjach terenowych, nad funkcją, jaką w książce pełni tytułowa dla niej miejscowość, i pytam, czy wyróżnia się ona czymś szczególnym (czym?), czy może chodzi tu o klasyczne *pars pro toto*. Pozostając przy tym miasteczku, mierzę się z pytaniem o relację między jego obrazem literackim a tym konkretnym, płynącym z własnych doświadczeń i przeżyć, całość wpisując w ogólniejsze pytanie o to, czemu mogą dziś służyć środkowoeuropejskie narracje. Następnie próbuję odnieść niektóre z podjętych w książce wątków – manifestacji poglądów samego Stasiuka – do współczesności, także tej unijnej, podejmując próbę umieszczenia prozaika w kontekście przypisywanej mu skłonności do czasów minionych. Esej domykam kilkoma zdaniami, które lokują tę postać oraz samo *Jadąc do Babadag* na szerszym tle literackim i epistemologicznym.

Odkrywanie „innej Europy” jako zaproszenie do refleksji historiozoficznej

Taka myśl nie rodzi się w pierwszej z brzegu wyobraźni, a nawet jeśli, to nie każdy napelni realną treścią taki pomysł: w drugiej połowie lat 90. ubiegłego stulecia i w pierwszych latach obecnego włóczyć się po zapadłej słowackiej, węgierskiej czy rumuńskiej prowincji. Tę naszą środkowowschodnią peryferyjność, wiejskość i wszystkie ich korelaty woleliśmy wtedy bowiem zepchnąć w podświadomość, niż o nich czytać i zachwycać się tymi obrazami. Mało kto w Polsce potrzebował wówczas takiej formy wzmocnienia narodowego samopoczucia, która sięgała ku wspomnianym obszarom, i to nie tylko dlatego, że rodzima rzeczywistość – mówiąc ogólnie – nie wyglądała lepiej. W 2004 roku Polacy oraz inne narody regionu gorączkowo sposobili się do zrzucenia przekłętego losu „Zachodu porwanego” według Milana Kundery³: miały iść z duchem czasu i rozkwitać pod unijną flagą, a nie utrwać to, co i tak – jak niekiedy wieszczono – prędzej czy później zetleje pod naporem brukselskich dyrektyw i rozpuści się w formalinie euronarracji oraz samego unijnego powabu. Nawet ci, którzy dopiero mieli zacząć nazywać się eurorealistami, reagowali wtedy z lekkim niesmakiem na frazy i obrazy, które na temat tej dopiero aspirującej części kontynentu wychodziły spod stasiukowego pióra: „ależ co pan, no aż tak to nie!”. Nie mówiąc już o gorzkich słowach, jakie kierowali ku niemu zaprzysięgli Europejczycy.

Tak było dwadzieścia lat temu i później – choć akurat sam rok publikacji książki jest tu wtórny, wszak notatki, które ostatecznie złożyły się na *Jadąc do Babadag*, powstawały przez około dekadę. Tak czy inaczej, jako się rzekło: było czymś ekstrawaganckim poświęcić wtedy całą książkę takim klimatom, opiewać – nienachalnie, od niechcenia, niemalże na własny użytek, ale jednak – tę inną Europę. Taką właśnie frazę – *Travels in the other Europe* – wykorzystało londyńskie wydawnictwo o nazwie Vintage, skądinąd jakże zgodnej z atmosferą książki, w jej angielskim podtytule⁴. Jakby wychodząc z założenia, że samo *On the Road to Babadag* będzie marketingowo zbyt mało ponętne, wszak trzeba mieć poważniejszą motywację, by zanurzyć się w te rewiry, choćby tylko prozatorsko. Zresztą również w polskim światku krytycznoliterackim pojawiły się swego czasu utyskiwania, że Stasiuk szwenda się „po opłotkach Europy”, czyli terenach niewłaściwych, i jeszcze próbuje robić z tego literaturę. Czyniąc zadość takim żalom, a jednocześnie „podkrecając” temat, Vintage mogło pójść na całość i wybić w podtytule *in the worse Europe* („po gorszej Europie”) – postąpiło jednak inaczej, jakby w przeczuciu, że nie potrzeba tu aż takiej deprecjacji. Zamiast tego – jakby niesione intuicją, że wystarczy przeczekać kilka lat emfaticznych euronarracji i słomianej euforii Środkowoeuropejczyków, by opowieść Stasiuka nabrała jeszcze głębszych sensów – opublikowało angielski przekład osiem lat po premierze oryginału.

Tymczasem w 2005 roku prozę tę wyróżniono Nagrodą Literacką „Nike”, co zresztą może stanowić kolejny quasi-rodzinnym impuls. Korci, by stwierdzić, że także w tym geście mniej lub bardziej wprost uhonorowano – oprócz lite-

rackich walorów książki – niebanalne przesłanie dotyczące jakichś odwiecznych ram istnienia tej części kontynentu, która już niedługo (czy ktoś się tego wówczas na poważnie spodziewał?) niechybnie znów zwróci się ku swym psychokulturowym ustawieniom fabrycznym. Chociaż bowiem sufix „euro” kompulsywnie doczepiano wtedy do wszystkiego wokół i demonstracyjnie zrzucano wschodnią, postkomunistyczną skórę, to jednak ta nowa, zachodnioeuropejska, którą dopiero należało przywdziać, może i była lepsza od poprzedniej, ale już niekoniecznie wygodniejsza od tej noszonej w skali długiego trwania i (pod)świadomie pożądanej przez niemalą część tutejszych społeczeństw. Czyż bowiem możliwa jest ucieczka przed przeznaczeniem – zdawał się powątpiewać Stasiuk na kartach swej prozy, tyleż profetycznie, co w nieznośnie deterministycznym duchu?

Dziś, gdy przechodzimy różne stadia eurorealizmu, eurosceptycyzmu, a nawet gorszych załamań; gdy nie mała część nas, mieszkańców „tej części Europy”, szuka spełnienia i ukojenia w wizjach przeszłości oraz w dawno oswojonych obrazach, wznosząc gmach przyszłości po środkowoeuropejsku, a więc „pomiędzy morzami”, a nawet gdzieś bardziej na Wschodzie – prowokacyjna energia *Jadąc do Babadag* wydaje się jakoś uziemiona, przepracowana i oswojona. Tym bardziej więc warto zajrzeć do tej książki i spokojnie zadumać się nad wątkami, które zrodziły się w głowie pisarza przed dwoma czy trzema dekadami; odrzucić wierzchnią powłokę tych obrazów i spróbować dotrzeć do jakichś trwalszych sensów.

Nieledwie literacka ontologia Europy Środkowej

Choć sam Andrzej Stasiuk wielokrotnie i dobitnie dawał do zrozumienia, że w pisarstwie nie interesuje go „tak zwana prawda”, oraz bronił się przed łatką reportera i znawcy Europy Środkowej, to jednak nie brakuje osób, które przyznają, iż jego teksty stanowiły dla nich ważne instrumentarium poznawania i rozumienia tego świata. Weźmy choćby dość licznych backpackerów, którzy – zainspirowani ontologią i estetyką stasiukowych podróży – ruszali w trasę z *Jadąc do Babadag* pod pachą, jako swoistym bedekerem, i weszli za określonym klimatem społeczno-kulturowym, zatapiając swe myśli, uczucia i wyobraźnię w dookolnej geografii, w uwzniośleniu prowincji i estetyzowanej anatomii trwania, beznadziei, zaniechania czy rozpadu⁵. Zagląдали na tę czy inną stację kolejową, do tej czy innej knajpy albo sklepu, popijając piwo, wino, palinkę lub koniak. I odnajdywali ducha tego pisarstwa oraz zapachy tej części kontynentu – na tym asfalcie, który „łśnił od krowich odprysków”, przy tym człowieku, który „będzie wydzieliał woń koziej stajni u progu jesieni, gdy kozły zaczynają cuchnąć moczem, piżmem i rują”⁶, oraz wszędzie indziej, dokąd pisarz ten trafił – albo i nie.

No właśnie – spyta ktoś – czy nie ze zbyt dużą geograficzną nonszalancją mamy do czynienia w tym piśmiennictwie, by traktować je jak poznawczy kompas? Tym bardziej że i sam prozaik – może właśnie z czystej literackiej dezynwoltury, a może zawczasu dostrzegając różne

scenariusze – bawił się (z) czytelnikiem i mylił tropy, raz po raz zapewniając, że ramy przestrzenne danego obrazu (powiedzmy: tych rozkwaszonych na szosie śliwek albo leniwie sunącego pociągu osobowego tej czy innej relacji) nie mają znaczenia, bo „tak było wszędzie”. Dla odbiorców tej twórczości był to chyba jednak dylemat bez większej wagi; pisarz mógł więc sobie ciskać zaklęcia i „przeklęcia”, a nawet – ryzykując, że czytelnicy poczują się wpuszczeni w maliny – rzucić à propos jednej ze swych barwnych myśli, że „[t]akie zdania mają dobrze brzmieć w książce”⁷, ale nic to: wino się rozlało, publiczność już wiedziała swoje.

A może – stańmy w obronie choćby części pasjonatów stasiukowych obrazów i rewirów, którzy doskonale wiedzieli, w co się angażują i czego się spodziewać po pisarzu – była to gra znaczonymi kartami, na końcu której ktoś mógłby przypomnieć słynną kwestię Jana Nowickiego: „Graliśmy uczciwie: ty oszukiwałeś, ja oszukiwałem, wygrał lepszy”⁸? Tylko kto miałby być tym lepszym? Czytelnik – skoro Stasiuk, chroniąc się przed jego oddechem, z czasem zdecydował się wynieść ze swą prozą na Daleki Wschód? Sam pisarz – egzekwując prawo do tego, by jeździć i tworzyć na własnych zasadach? A może jednak obie strony – po prostu czerpiąc radość z pisania, czytania i jeżdżenia? Na rzecz takiej optyki – symbiozy literacko wysmakowanych i etnograficznie wyczulonych opisów oraz gotowości do podążania tymi śladami, ale też odkrywania własnych sensów – mogą przemawiać oryginalne inicjatywy. Jedną z nich spotkamy w dawnej przygranicznej wsi Czeremcha w Beskidzie Niskim, gdzie swego czasu umieszczono skierowany ku południu drogowskaz o treści: „Babadag 1034 km”, łącząc w nim głębokie uczucie nie tylko do tej miejscowości, ale i do *Wina truskawkowego* – filmu nakręconego w nieodległych Jaśliskach *vel* Żłobiskach na kanwie stasiukowych *Opowieści galicyjskich*⁹.

Obierając szerszą perspektywę epistemologiczną, można zauważyć, że twórca idzie drogą, która jest nie tylko jego i czytelnika, ale też inspiruje literaturoznawców, kulturoznawców czy socjologów. Chociaż więc ludzie dużego formatu uczulali nas i niejednokrotnie nam przypominali, że to tylko proza i projekcje, że jednak nie wolno tego wszystkiego bezmyślnie i bezkarnie przykładać do rzeczywistości jeden do jednego, to jednocześnie inni, jak ów krytyk i badacz literatury, czynili nieomal apologetyczne wyznania: „Z podróżującym i medytującym Stasiukiem się nie dyskutuje, jeno powtarza i rozwija to, co zawarł on w swoich pismach”¹⁰. Toteż

nawet jeśli prawdą jest, że charakterystykę odwiedzanych (albo i nieodwiedzanych...) przez siebie miejsc Stasiuk całkowicie zmyślił, że opisywanej rzeczywistości doświadczał tylko z perspektywy „hotelu, dworca i księgarni” i że nie znał miejscowego języka – zrobił to w sposób tak bardzo sugestywny, że znanstwem lub przynajmniej wysokiej próby intuicją, które są właściwe dla (a zarazem pożądane przez) dojrzałego badacza, iż obrazy te zasługują na uwagę przynajmniej jako socjologiczna hipoteza, do której oczywiście należy podejść z właściwą postępowaniu naukowemu ostrożnością¹¹.

No więc ujęcia Słowacji, Węgier, Rumunii, a może Albanii albo Naddniestrza... Czy wszystko to miałoby pozostać bez znaczenia, bo równie dobrze mogło tu chodzić o Duklę bądź Sanok? Trzeba nam zgodzić się z Andrzejem Stasiukiem, gdy protestuje przeciwko nazywaniu go znaczących tych miejsc, boć z reguły faktycznie nie o tę czy inną lokalizację mu chodziło; w każdym razie: nie zawsze i nie przede wszystkim o nią. Piewca prowincji, kronikarz minionego, tropiciel tego, co wytarte bądź wyparte – oto kategorie, które zdają się lepiej tu pasować. A że – przypadkiem czy nie – zjawiska te w swej okazałej formie znajdują się w Europie zwanej Środkową? Może rację miał ten, kto zaproponował, by do tytułu angielskiego tłumaczenia *Ja-dąc do Babadag* dopisać „inną Europę”.

Babadag jako pretekst?

W jednym z popularnych przewodników krajoznawczych czytamy, że w 1330 roku o Babadag wspominał pewien arabski podróżnik, w XVIII wieku dotarł tu zaś niejaki W. Chrzanowski. I dalej: „W XXI [wieku] inny polski podróżnik-pisarz – Andrzej Stasiuk – na nowo rozślawił nazwę miasteczka”¹². W ten sposób w pewnych kręgach turystyczno-literackich stało się ono jednym z bardziej znanych czy choćby rozpoznawalnych po imieniu miejsc w Rumunii.

A czym było ono dla samego prozaika? Przypomnijmy od razu wprost: w tym liczącym dziś około dziesięciu tysięcy mieszkańców miasteczku Stasiuk był tylko dwa razy, i to nader krótko. Był – czy raczej: zatrzymał się – gdyż chodzi o kilkuminutowe postoje busa na trasie Konstanca–Tulcza. Tyle wystarczyło, by uczynić tę miejscowość literackim symbolem swej wieloletniej włóczęgi, choć na ponad trzystu stronach książki poświęcił miasteczku ledwie kilkanaście zdań.

Cóż więc takiego miało mu do zaferowania, że aż wybił ten toponim na okładce swej książki? Co mogło sprawić, że jednym pociągnięciem pióra *de facto* ogłosił prymat Dobrudży nad Karpatami, symbolicznie zdeprecjonował góry, w których polskiej części żyje (i żył wtedy) i które kiedyś w jednym ze szkiców przedstawił jako swoisty kręgosłup kulturowy Europy Środkowej¹³? Czy już dwadzieścia lat temu mogły one jawić się pisarzowi jako oczywiste i nadto popularne, by eksponować je w tytule, podobnie jak intensywnie odwiedzana Sulina? Pytajmy dalej: czy o samo Babadag tu chodziło? Czy aby nie było ono tylko punktem na trasie mikrobusu, przerwą na papierosa bądź toaletę, jakimś środkowoeuropejskim *everyplace*, zwykłym pretekstem? Babadag, czyli wszędzie i nigdzie – ze skwarem, żebrzącymi dziećmi, rozpadem, „zmęczeniem i samotnością”¹⁴, a więc zbiorem klasycznych toposów pisarza z Wołowca? Czy – nawiązując do poetyki jego tekstów – faktycznie równie dobrze mogło to być Gönc, Hugi albo Sokolów Podlaski? Pewnie mogło, ale chyba nie do końca, bo jednak owa dobрудżańska miejscowość wydaje się czymś zasługującym na jakąś formę uwznioślenia, zrodzonego z kilku szczególnie dla autora znaczących pragnień i toposów. Wtedy, przed dwiema czy trzema deka-

dami, mogły one jeszcze być nieświadomione, mowa tu więc o pragnieniach, które wyluskujemy z kart książki wyraźnie *ex post*. Tak czy inaczej przyjrzyjmy się kilku z nich.

Po pierwsze, dla Stasiuka z pewnością ważny był dookolny *finis terrae* – wyobrazony i pięknie przezeń opisany już przy okazji rzeczonyj miejscowości, choć w pełnej krasie obserwowany przecież dopiero w delcie Dunaju. „Czułem, jak kończy się kontynent, czułem przyspieszony oddech łądu, który porzuca swoje obowiązki. Mieliliśmy [...] patrzeć, jak jego nagi grzbiet wślizguje się pod gładkie prześcieradło wód”¹⁵. Jak wiadomo, ta krańcowość odnosi się do Suliny, która została patronką jednej z serii książek wydawanych przez Czarne, i Sfintu Gheorghe, a więc miejsc pełnej materializacji tych figur. Dlaczego więc przywołanym obrazem Stasiuk podzielił się akurat przy okazji Babadag? Prowokacyjnie rzecz ujmując, miasteczko to, jeśli nie miał na nie lepszego pomysłu narracyjnego, lepiej byłoby już pozostawić w jego substancjalnej na wół nagości językowej i niezobowiązujących przebąkiwaniach, czyli spowijającym je narracyjnym niedostatku. A jednak tak się nie stało, co może sugerować, że chodziło tu o coś niezwykłego: o faktyczny, choć geograficznie nieco rozciągnięty „początek kresu”; o jego preludium, nie zaś o *grand finale* obserwowane w Sulinie i Sfintu Gheorghe.

Po drugie, w tytule tym może chodzić o właściwe Babadag elementy orientalne, takie jak Turcy, którzy do dziś stanowią tu kilkunastoprocentową część populacji, i pamiątkę po trwającym niemal pięćset lat osmańskim panowaniu nad tą czarnomorską prowincją (w samym miasteczku posiadają zresztą niewielkie muzeum poświęcone własnej historii). „Zapewne dobrudzańskie Turczynki” – odnotował pisarz, widząc z autobusu kobiety „w powłóczystych czerwonych sukniach do ziemi”. Z obrazem tym koresponduje meczet – typ świątyni, który po raz pierwszy w życiu Stasiuk zobaczył właśnie tutaj, o czym nie omieszczał czytelników poinformować, dopowiadając, że jego minaret „był surowy i prosty. Wyglądał jak ołówek skierowany w niebo”¹⁶. W nurcie tym mieści się też toponomastyka: owo fonetycznie fikuśne i w swej etnogenezie egzotyczne „Babadag”, czyli tureckie (pierwotnie arabskie?) słowo oznaczające „Górę Ojca” (i to nie byle jakiego, wszak najpewniej chodzi tu o czternastowiecznego derwisza Sari Saltuka, który wędrował po Bałkanach). Wszystkie te tropy prowadziłyby do samej miejscowości, choć szerszą kategorią interpretacyjną powinien być może stać się tu Wschód, ale ten prawdziwy, taki „Wschód orientalny”, a nie jakieś tam środkowoeuropejskie erzace i popłuczyny socjalizmu z moskiewską twarzą. Przedśmiankiem tego Orientu byłaby zaś cała północna Dobrudża, w której skład wchodzi omawiane miasto.

Trzecią możliwą wiązkę tematyczną tworzą ujęcia stepu; w Babadag zbiór ten jest realny, w *Jadąc do Babadag* – raczej eteryczny. Wtedy być może był właściwy jedynie podświadomym pragnieniom pisarza, stanowił dyskretną zapowiedź jego kolejnych literacko-krajobrazowych epifanii, poszukiwań i spełnień. Miejscowe trawiaste falistości

stanowią wszakże południowo-zachodnie kresy Wielkiego Stepu, który ciągnie się z Dobrudży aż po Mongolię, a to przecież właśnie ten kraj stał się dla Stasiuka przedłużeniem i zwielokrotnieniem osobistych przeżyć oraz projekcji, a może i ostatecznie doskonałym celem jego wieloletnich podróży. To właśnie tam, na Dalekim Wschodzie, pisarz odnalazł bowiem brak ludzi, bezkres pustki i nicość, czyli jakże wiele... I to tam, jak się wydaje, w pełni doszła do głosu jego na wół koczownicza dusza.

Czwarty zestaw potencjalnie istotnych inspiracji, konotacji i symboli wypełniają migawki pozornie najbardziej oczywiste, bo dotyczące samej miejscowości: ilościowo ponownie dość skromne, obecne raczej między wierszami, ale też „bogate tym niedostatkiem”; wszystkim tym, czego w miasteczku nie ma, a co kieruje naszą uwagę ku toposowi absencji, jakże istotnemu dla twórczości Stasiuka. Motyw ubóstwa elementów, które w powszechnym odbiorze czynią miejscowość turystycznie atrakcyjną, zidentyfikowali również niektórzy czytelnicy tej prozy, tym bardziej jednak dziwić się, o co w związku z tym Stasiukowi chodziło, gdy miejscowość tę umieścił w tytule swego dzieła. Odpowiadając im najkrócej: chyba mniej więcej właśnie o to, że Babadag jawi się jako dość niepozorne, a przy tym jego ontologia jest jakby podpowierzchniowa. W tym sensie byłoby ono zbiorczym symbolem wszytkiego, co pisarz zebrał w całej przemierzonej przez siebie „środkowoeuropejskiej okolicy”, jej *pars pro toto*.

Wprowadzenie do krańcowości łądu, „prawdziwy Wschód”, wyabstrahowany z człowieczeństwa step oraz środkowoeuropejskie *everyplace* – inaczej mówiąc: kres, Orient, pustka i nijakość – tworzą tu niełatwy w odbiorze przyrodniczo-kulturowy przekładaniec. Oprócz tego mamy przecież jednak także Babadag jako realność: punkt na mapie i w terenie – tylko czy aby na pewno? Myśląc konkretniej o tym, co w samym miasteczku jest, i o tym, czego w nim nie ma, wyjdźmy na chwilę poza stronicę powieści.

Babadag (nie)realne

Jadąc do Babadag, planowałem popytać tu i tam o Stasiuka i jego słynną książkę (na język rumuński została przetłumaczona już trzy lata po wydaniu oryginału); nawet ją ze sobą miałem, na wypadek gdyby trafił się jakiś dyskutant. Oczyma wyobraźni widziałem już nawet tę choreografię mieszkańców miasteczka, opędzających się od kolejnego polskiego przybysza molestującego ich na tę okoliczność, jednak nie dane mi było znaleźć wspólnego języka z miejscowymi. Kwestię tę przedłożyłem także garstce studentów uniwersytetu w nieodległej Konstancy, ale z takim samym rezultatem (choć ich wykładowczyni deklarowała, że miała ten temat jako tako rozpoznany).

Marta Cobel-Tokarska, socjolożka literatury z warszawskiej Akademii Pedagogiki Specjalnej, gdy przesłałem jej pozdrowienia z Babadag, o którym wielokrotnie rozmawialiśmy, odpisała tyleż krótko, co i w punkt: „To musi być egzystencjalny wstrząs [przekonać się], że

Babadag naprawdę istnieje!”. To prawda: z doświadczeniem tym nie było łatwo się rozprawić, ale jeszcze trudniej było dojść do ładu z całą miejscową materią, która nie zawsze chciała dać się powtórnie zagonić między okładki książki. Co więc z samym miasteczkiem?

Zaczął się jak trzeba. Najpierw zarządzająca miejscową stacją kolejową kobieta ofukała mnie, że beztrasko fotografuję budynek, dalej była toaleta, która składała się głównie z zapachu, następnie pod przydworcowym sklepem obkoczyły mnie Cyganiątka, prosząc o jakiś datek, wreszcie koń przyciągnął wóz wyładowany jakimiś rupieciami (choć rupieciami były one zapewne tylko dla mnie), z którego zeskoczył chłop, by za chwilę powrócić z dwoma piwami i łakociami dla czekającej nań dziatwy. Wszystko się zgadzało, wszystko było na swoim miejscu. Dalej jednak nie było już tak archetypicznie.

Weźmy tę niezłe zadymioną knajpę na piętrze. Sam bufet, w którym bezskutecznie próbowałem dostrzec szynkwasa, miał wbudowane duże akwarium, a w nim gromadkę ryb. Na nim stało kilka ustylizowanych dyń (był 31 października), a na barowym zadaszaniu w powitalnej pozie siedział kościotrup. Nie, niech Stasiuk lepiej tu nie wchodzi – przeszło mi przez myśl; tak, niechaj wejdzie i oznajmi, że wszystko to było wiadome już ćwierć wieku temu, i to bez wychodzenia z autobusu i zagładania do lokalu. Zmieniają się metody, cyryle pozostają bez zmian, toteż w szerzej widzianej kulturowości baru drgnęło niewiele, choć tak wiele się zmieniło, gdy chodzi o rekwizytorium. Czułem się tam dość dziwnie, choć doświadczenie miejsc zapomnianych przez pozamiejscową publiczność jest odwieczną częścią mojej prywatnej minietnografii; siedzący w środku bywalcy mogli pomyśleć, że przyszedłem na jakieś zwiady, gdy tymczasem ja odprawiałem sobie przyspieszone o dwa dni Dziady.

Albo weźmy tę halę, w której chłopaki grali w piłkę, czemu przyglądałem się z zewnątrz przez szybę z mieszaniną chandry i zdenerwowania. Oto bowiem zszedłem właśnie lekko oszołomiony z pobliskiego stepu, na którym doświadczyłem formy transgresji – wywołanej monumentalnymi rytmemi odtworzonymi na telefonie pod tamtejszym rozgwieżdżonym niebem¹⁷ – i ten ich mecz wydał mi się głęboko niestosowny; oni wszak mieli reprodukować nędzę Europy Środkowej, a nie tak sobie pogrywać.

Dopadała mnie ta sama co Stasiuka melancholia, której źródłem był upływ czasu i wewnętrzna zmienność miejsc. O ile jednak w pisarzu uczucie to (do którego nawiązywał w wywiadach) wyzwalały po latach wspomnienie i bolesna konfrontacja z rzeczywistością tego, co kiedyś realnie przeżywał i co później zachował na kartach swych książek i pod powiekami, o tyle we mnie – który zresztą w miasteczku dopiero debiutowałem – generowała je głęboka literacka sugestywność wszystkich tych książkowych scen. Tak jakbym nie przyjmował do wiadomości artefaktyczności oraz mediacyjnego charakteru przynajmniej niektórych motywów z *Jadąc do Babadag* i jakby proza ta również dla mnie była osobistym prze-

laniem na papier jakiegoś młodzieńczego, formacyjnego, niemalże inicjacyjnego doświadczenia z terenu. Pierwotnie książka wydawała mi się opowieścią-zwierciadłem, literacką bramą do środkowoeuropejskości jako kolejnej „epoki geologicznej”, która właśnie wylaniała się przede mną z czasoprzestrzeni; teraz, trafiając wreszcie do Babadag, poczułem na własnej skórze, że są to już zapiski również sprzed mojej ery, i to pomimo korzystania z atutu późniejszego niż Stasiuk urodzenia.

„Tu nie należy przyjeżdżać” – to zdanie wymykało mi się czasami, gdy chadzałem po miasteczku, wzmocnione słowami Stasiuka, że „nic tak nie szkodzi utopii jak nadzieja na jej trwałość”¹⁸, oraz pytaniem o to, ileż to osób, odwiedzwszy miejsce inspirowane literackimi portretami, których nijak nie dało się odnaleźć, miało potem mieszane uczucia albo wręcz kaca. Ale też – dodawałem, pragnąc wypłynąć na powierzchnię jakiegoś takiego optymizmu, a zarazem trzeźwego osądu – przyglądając się dzisiejszej aparycji Babadag, wciąż chyba można odnaleźć co nieco z realiów sprzed dwudziestu kilku lat. No więc: nic dwa razy się nie zdarza? A może też: trwaj, chwilko, (wciąż) jesteś piękna? Nie był to pierwszy nierozstrzygnięty pojedynek gigantów literatury, ja zaś buńczucznie skryłem się w jego cieniu.

Po co komu środkowoeuropejskie narracje?

Wizyta we współczesnym Babadag może też inspirować do podjęcia wątku łączącego stasiukową Europę Środkową sprzed dwóch czy trzech dekad z tą dzisiejszą, a także do postawienia pytania: do czego ta ówczesna była pisarzowi potrzebna? Mierząc się z tym dylematem, łatwo osunąć się w niechciane psychologizowanie, mając jednak na uwadze różne wypowiedzi prozaika, można postawić ostrożną tezę, że ziem tych nie traktował instrumentalnie, a więc jako obszaru, który nadaje się tylko do literackiej eksploatacji (nie mówiąc o jego egzotykcji). Ta bowiem – śmiem twierdzić, być może naiwnie – byłaby poniżej poziomu uczciwości i psychologiczno-intelektualnego zaangażowania twórcy w odwiedzane ziemie¹⁹. Bo choć w tej czy innej lokalizacji wciąż można dziś znaleźć materiał do kontemplacji w duchu *Jadąc do Babadag*, to jednak przeciskanie się jak intruz pomiędzy wytworami współczesności w poszukiwaniu odpowiednich bodźców byłoby chyba ponad jego siły. Zresztą uwzględniając samotniczą naturę beskidzkiego pisarza, być może należy wręcz przyjąć, że w istocie zawsze pragnął on (tylko i aż) tego, by być z dala od ludzi, na czele z „turystyczną stonką”, która obsiada drogę jego sercu miejsca, i cieszyć się jeszcze nieodkrytymi przez nią skrawkami świata – i aby na koniec przelać to na papier.

W tym sensie można stwierdzić, że Stasiukowi nie o ten czy tamten rewir chodzi. Trudno wszakże wyobrazić sobie, by powodowany jakąś formą lojalności wobec ziem, które (literacko) odkrył przed swą publicznością, wciąż pisał o tych samych terenach – niczym antropolog poświęcający im całe swe badawcze życie, by monograficznie uchwycić

je w niekończącym się *statu nascendi*. Nasz autor, poszukując specyficznych impulsów i doświadczeń, pozostaje wierny raczej określonym klimatom, które w swoim czasie odnajdywał w różnych miejscach: w Dukli i na pograniczu polsko-słowackim, w Europie Środkowo-Wschodniej i na Bałkanach, w Rosji i na Dalekim Wschodzie czy wreszcie nad mazowiecko-podlaskim odcinkiem Bugu. Choć akurat w tym ostatnim przypadku bardziej niż w dzisiejszym terenie szperał raczej w zakamarkach historii, rodzinnej pamięci i literackiej wyobraźni.

I chyba nic dziwnego, że na powyższej liście od dawna nie ma już ani unijnej Rumunii, ani Albanii, *à propos* której – cóż z tego, że pozaunijnej, skoro w niemaliej części zmakdonaldyzowanej – być może należy przyjąć, że opisywanie takich klimatów przerasta emocjonalno-literackie dyspozycje pisarza. Wyraźny sygnał w tym względzie mieliśmy już w *Jadąc do Babadag* w odniesieniu do Słowenii, wszak w jej krajobrazie prozaik nie potrafił znaleźć „żadnych pęknięć, w które mogłaby się wślizgnąć wyobraźnia”²⁰. Nieco później, przemierzając Bałkany, snuł zaś gorzką refleksję: „Jeszcze parę lat i nie będzie dokąd wyruszyć. Wszędzie zastaniesz otumanione egalitaryzmem masy, które postanowiły zwiedzić świat”²¹. A przecież gdzież tym ówczesnym obrazom do współczesnej albańskości na modłę *all inclusive*?

Trudno zgadnąć, gdzie w tym wszystkim podzieli się dawni pasjonaci stasiukowej Europy Środkowo-Wschodniej. Zmienił się czas, prozatorskie mody i psychologiczne pragnienia czytelnicze, choć chyba nie na tyle, by wszystkie topoty *Jadąc do Babadag* utraciły powab i użyteczność, toteż wciąż, jak sądzę, mogą być nośnikami sensów zmieniającej się kultury lokalności i codzienności. Na nieco bardziej kontestacyjnym poziomie obrazy te mogą sprzyjać sentymentalnym westchnieniom za „starymi, dobrymi czasami”, czyli w duchu klasycznego motywu nieutulonej tęsknoty za światem znanym, oswojonym, podświadomie docenianym także (głównie?) dlatego, że już go nie ma. Nic to, że chodzi o świat poniekąd zmitologizowany i idealizowany, rzecz wszakże nie w tym, jak do tych obrazów ma się prawda o przeszłości, lecz w tym, jak ją sobie odtwarzamy. Wracając do głębszych tonów, wspomnienia dawnej Rumunii, wschodniej Słowacji czy Węgier – ziem, które w nadchodzącej dwudziestolatce czekała przecież lepsza przyszłość – dziś, w epoce przedwojennej, nadają się też na kanwę refleksji egzystencjalnej, oby nie za czasami, które były prawdziwie dobre, bo spokojne i bezpieczne.

Zapewne nie potrzebujemy już opisów syfu, rozpadu czy degeneracji, które na modłę *Przyjdzie Mordor i nas zje* Ziemowita Szczerka pompowałyby nasze obolałe narodowe ego, wciąż jednak przynajmniej niektórzy mogą odnaleźć w tym wszystkim walor terapeutyczny. Tak, móc sobie pojechać do takich „niedzisiejszych” (nawet jeśli – albo właśnie dlatego że – już ulepszonych) lokalizacji, poekscytować się tym, „jaki tam piękny bajzel”, i wrócić w domowe zacisze. A w nim rozsiąść się w wygodnym skórzanym fotelu, zamówić nienajgorsze danie, uraczyć jakimś zacnym trunkiem i westchnąć: „Ach, Rumunia...”.

W stronę przeszłości – pod sztandarem postępu

Czy Andrzej Stasiuk jest przeciwnikiem postępu, czy chciałby zatrzymać świat w jego skorupie sprzed kilkadziesiąt lat? W tekstach pisarza nie brakuje fragmentów wspierających taką tezę, choć trudno orzec, ile w tym retorycznej mistyfikacji, twórczej przekory czy artystycznej prowokacji. Indagowany swego czasu w tej kwestii, odparł cokolwiek wymijająco, że na szczęście nie ma wpływu na rzeczywistość; myśl tę umieścił też w jednej ze swych książek jako dopowiedzenie dla wyznań typu: „Lubiłem ten rodzaj nieruchomości. Lubiłem zastawać własne wspomnienia na swoim miejscu”²². To „na szczęście” odgrywa tu dwie role naraz: pozwala pisarzowi uciec od łatki przeciwnika modernizacji, a jednocześnie pozostawić swe pragnienia we względnie nienaruszonym stanie.

Również w *Jadąc do Babadag* nie brakuje fragmentów, w których autor wyraża swój sprzeciw wobec unowocześnień. Sto sześćdziesiąt siedem (jak skrzętnie policzył) stempli w paszporcie to dobry punkt wyjścia do refleksji nad znoszeniem barier dotyczących przekraczania granic państwowych. Na początku lat dwutysięcznych, gdy przyszłość zdawała się należeć do nas, można było sobie kpić z kolorowych pieczętek, „z jakimiś dopiskami długopisem, z obrazkami zabytkowych lokomotyw, automobili, z dziecinnymi sylwetkami samolotów i statków, bo to wszystko ma w sobie coś z dziecinady, z gry w berka, w ciuciubabkę, w chowanego, z czezej rozrywki, z zabawy, która raz rozkręcona, nie może się skończyć”²³. I wkrótce, wraz z przystąpieniem środkowoeuropejskich państw do strefy Schengen, cała ta „zabawa” się skończyła. Ale ledwie dekadę później Krzysztofowi Vardze, koledze Stasiuka nie tylko po piórze, nie było już do śmiechu: bo choć on także wspomniął o koślawych paszportowych pieczętkach z małym samochodzikiem, to jednak skupił się na kompulsywnym przekraczaniu granicy słowacko- bądź słoweńsko-węgierskiej tak „na chwilę”, póki jeszcze można, póki jeszcze mamy Schengen²⁴. A dziś – czy jest jeszcze ktoś skory w tym względzie nie tylko do żartów i kpín, ale i z poważną alternatywą? W *Jadąc do Babadag* pisarz mógł zatem deklarować sobie, że nie cieszy się z nadchodzących zmian, które usuną w cień całą tę graniczną infrastrukturę i interakcje między obywatelem a mundurowymi, ciekawe jednak, co by o tym powiedział dzisiaj. Być może i tu – jak w wielu innych miejscach – trzeba by przyjąć, że jest to *licentia poetica*.

Idąc dalej: to prawda, że Stasiuk koncentruje się na materii trawionej przez czas i zaniechanie, na nastroju wypalenia, rozpadu i nieuchronnie skradającego się końca. Być może, jeśli miejscowa demografia i brukselskie euro okażą się łaskawe, kres ten uda się przytrzymać gdzieś za rogiem, ale i tak trudno uciec od wrażenia, że wyrok czeka jedynie na odwieszenie. Widać, że *Jadąc do Babadag* przepełnione jest tym typem rzeczywistości i doświadczeń, w których pisarz czuje się najlepiej: bezbłędnie operując słowem, zanurza się w tę dogorywającą substancję, diagnozuje ją od wewnątrz, a potem przedstawia nam

wnikliwy raport z tej wiwisekcji – nasączony wytworami swych zwróconych w przeszłość zmysłów i ponurej miejscowej historiozofii.

Oczywiście różne lokalizacje różnie sobie z tą ówczesnością poradziły. Liczący dziś z grubsza ćwierć wieku opis jednych prawie „wyprzedzał swój czas”, wszak tamtejszy nastrój pozwalał odnaleźć się także całkiem niedawno. Gdy więc w lipcu 2024 roku dotarłem z zakarpackiego Sołotwina do Sygietu Marmaroskiego, fascynowałem się nim bezbrzeżnie, ponieważ nadal „przypominał sen”²⁵, a rok później gdzieś koło Kaczyki wiozł mnie „zardzewiały osobowy do Suczawy”, zapewne niewiele się różniący od tego wspomnianego w książce Stasiuka. W innych miejscach widzimy, że z twórczości tej wзира etnografia codzienności, głęboko zatopiona w tamtym czasie, dziś już nawet bardziej przeszłym, niż sugerowałby upływ dwóch czy trzech dekad. To proza będąca nastrojowym epitafrum dla świata niby ledwie przełomu XX i XXI wieku, a zarazem tak już odległego; autor chyba nie pogodził się do końca z jego przemijaniem.

A jednak u Stasiuka nie brakuje też wątków prawdziwie progresywnych, zwłaszcza jak na tamten czas. To na przykład intrygujące spojrzenie na żywy inwentarz, sportretowany naturalistycznie, z całą swą fizjologią, w którą niemalże da się włożyć dłoń. Zwierzęta towarzyszą człowiekowi, napełniając sobą krajobraz obojętnej, pół czy wiejskich szos, a przy okazji dookólną sferę woni. Wszędzie, „od Kijowa, powiedzmy, po Split”, stanowią o międzygatunkowej środkowoeuropejskości: „Ludzkie łączyło się ze zwierzęcym, by wspólnie przeczekać noc”²⁶. „Tak, moja Europa jest pełna zwierząt”, wyznawał pisarz, a odwieczność i trwałość ich hodowli miała stanowić kontrpunkt dla szybko zużywającej się przemysłowej. Istota tego wątku daje się odczytać jako ekspresja gorzkiego przecucia, że w przyszłości, po epoce tej przemysłowej, to już ino klatki, fermy i farmy się ostaną.

Powyższy fragment daje się też odczytywać w duchu ekokrytyki. Te same zwierzęta można bowiem postrzegać w perspektywie długiego trwania: jako gatunki, które nie po raz pierwszy okazują się trwać dłużej niż owe szczątki przemysłowej – niegdyś powód człowieczej chluby, dziś dogorywające na śmietniku historii. W ujęciu bardziej doraźnym dostajemy zaś projekcję bydła i wielkich czarnych świń, które na małomiasteczkowym bazarze

ryją wśród tandety w poszukiwaniu prawdziwego żeru, [...] roztrzaskując mokrymi ryjami stopy ubrań, smakują i wypluwają malowany plastik, pokwikują i srają na emblematy wszechświatowych firm, zmieniają w chlew całe to fałszywe targowisko²⁸.

Na poziomie bardziej metaforycznym zwierzęce odchody przykrywają asfalt – inny wynalazek człowieka, wyznacznik cywilizacyjnego postępu, który dotarł do siedmiogrodzkiego Rășinari. W jednym z umiejscowionych tam fragmentów prozy fekalia zostały skontrastowane z miastowymi, którzy zajeżdżają sobie do wsi tą drogą, w innym – z urodzonym tu Emilem Cioranem²⁹.

Zgoda, także u Stasiuka ludzie korzystają z pracy zwierząt, na koniec zaś jedzą ich mięso. Zarazem jednak pisarz pokazuje, że jako gatunki były one obecne przed *Homo sapiens*, a teraz przeżywają wytwory jego działalności. Jeśli więc ekokrytyka promuje świadomość ekologiczną, to lektura *Jadąc do Babadag* progresywnie (zwłaszcza ćwierć wieku temu) uświadamia nam w tym duchu człowiecze miejsce w szeregu, zachęcając do ponownego namysłu nad sensem nakazu czynienia sobie ziemi (natury) poddaną.

W książce znajdujemy też wątek wolności od feudalnego ucisku (dziś generowanego przez zglobalizowany kapitalizm), symbolizowany przez Jakuba Szelę. Jego grobu poszukiwał Stasiuk na rumuńskiej Bukowinie, której realia – choć znów nie chodziło tu o wyłącznie tę okolicę – podpowiadały pisarzowi, że znów potrzebna jest radykalna interwencja jakiegoś przedstawiciela warstw społecznie i ekonomicznie upośledzonych. Z tą różnicą, że dziś trudno o namacalny cel takiej rabacji, do Szeli pisarz mógł więc fatalistycznie powiedzieć raptem tyle: „Zostaje ci tylko bankomat w Suczawie jako realna emanacja dalekiego wszechwładnego zła, które nigdy nie pozwoli, by ostatni byli pierwszymi”³⁰.

Spójrzmy też na Romów, u Stasiuka występujących zwykle jako Cyganie, i na jego formę uznania, a przynajmniej życzliwego zaciekawienia, co najmniej czterema elementami ich tożsamości. Chodzi, po pierwsze, o wolność od konieczności posiadania własnego państwa. Bodaj najpełniej zmaterializowała się ona w słowach pewnego „starego Cygana”, którego zapytano kiedyś, „dlaczego [...] nie mają własnego państwa. «Gdyby państwo było czymś dobrym, Cyganie pewnie też by je mieli». Tak odpowiedział”. Po drugie – choć w powiązaniu z myślą poprzednią – intrygująca jest nieskrępowana, ponadpaństwowa mobilność przedstawicieli tego etnosu, w związku z czym „zjednoczona Europa to jest rzecz dla nich”. Prawda, że z konstatacji tej bije ironia, ale przecież mamy tu odwołania do twardych fundamentów UE: prawa do nieskrępowanego przepływu dóbr, usług czy osób. Po trzecie, mowa o lekceważeniu historii pisanej, także własnej, od której „wołą [oni] swoje bajki i legendy, swoje bajania z pokolenia na pokolenie”, które pozwalają im uciekać od dziejowych determinizmów oraz koncentracji na tym, co „teraz”. Po czwarte, mamy tu swoistą (czy tylko literacką?) pogardę dla gotówki, jak w tej scenie z Cyganem, który za swą usługę wolał papierosy zamiast pieniędzy, bo te „wydawały mu się kłopotem przewyższającym ich wartość”³¹. Temat ten daje się rozwinąć szerzej³², ale już tylko w oparciu o powyższe wątki można mówić o projekcji Romów – grupy skądinąd wydobytej przez prozaika z literackiego cienia – jako uwolnionych od ciężaru przeszłości, „bezpiecznych” liderów paneuropejskiej mobilności bez pieniędzy... Czyż nie brzmi to marzycielsko, postępowo i wolnościowo?

Odwołując się do kultury romskiej, pisarz w sposób szczególny upomina się też o Europę nieuporządkowaną, zmarginalizowaną i wykluczoną, kontrastując ją ze Sło-

wenią. W książce kraj ten przypuszczalnie występuje jako swoiste pogranicze między Środkiem a Zachodem (który tym razem nie został przywołany po imieniu), choć w odczuciu jej autora chodzi po prostu o zwielokrotnioną wersję wspomnianego państwa. Jak deklaruje, Stasiuk:

Gdziekolwiek się ruszę, wyglądam Cyganów. W Prekmurju [region we wschodniej Słowenii – dop. M.D.] wyjeździłem bak benzyny, żeby na nich trafić, ponieważ brała mnie cholera na ten wysprzątany kraj i na Słowenów, na tych zdrajców słowiańskiej rozpierduchy, ale nie znalazłem żadnego, chociaż wyczytałem, że na pewno tam są.

W jednym ze zdegradowanych miejsc wschodniej Słowacji dostrzegł natomiast z ich strony „kpinę ze wszystkich pokus ładu i dostatku”. I dodawał:

Tam moje serce zawsze drży z podziwu, że można mieć ten świat w dupie i uprawiać starożytne zbieractwo pośród postmodernistycznego postindustrialu³³.

Katalogu lewicowych odchyłeń Stasiuka tu nie domknijemy, warto jednak poświęcić jeszcze dwa słowa opowiadanemu przezeń modelowi podróżowania, wyrastającemu z „progresji, która już była”. Na kartach *Jadąc do Babadag* pisarz nocuje w prywatnych kwaterach, pieniądze zostawia zatem „na miejscu” i „u ludzi”. Czasem sypia też w pociągach, którymi zresztą często się przemieszcza, wybierając bardziej ekologiczny środek transportu. Zagląda do miejsc zapomnianych, omija „topowe destynacje”, toteż nie uczestniczy w powoli przejmującej je turystycznej komercjalizacji. Co przy tym ważne, w swych wyborach nie epatuje egzaltacją nierzadko towarzyszącą przedstawicielom nurtu nieco później nazwanego antyturystyką; po prostu nienachalnie praktykuje swoją małomiasteczkową *flânerie*. Zaopatruje się w lokalnych sklepach, wspierając małe rodzinne przedsiębiorstwa, a posiłki nierzadko komponuje dość minimalistycznie (salami, papryka, wino), mimochodem jakby propagując ideę *zero waste*. Zgoda, w tamtych czasach i w tamtych stronach nie było łatwo o rozbuchaną konsumpcję, zdaje się zresztą, że sam nasz prozaik również specjalnie wówczas nie śmierdział groszem – co nie zmienia faktu, że obrany przezeń model włóczęgi jawił się wtedy jako wizja dość wytarta i niepełna, co najwyżej wyścielająca scenę dla nadchodzących „wielkich podróżników”. Prawdą jest również, że z czasem (i z wiekiem) zmienił niektóre z tych nawyków – to jednak jest już osobna historia.

Następny do panteonu

Wspominając fragmenty *Jadąc do Babadag* poświęcone Albanii, można zrozumieć, że Stasiuk dziś czuje się źle, gdy patrzy na masy turystów zjeżdżających tam na plażowanie lub (o zgrozo!) po to, by kraj ten „odkrywać”, toteż on sam rezygnuje z podróży w tamte strony. Można

zrozumieć, że rozczulał się nad słowackimi, węgierskimi czy rumuńskimi banknotami (niebanalnie je przy tym opisując), skazanymi na to, by ustąpić miejsca euro. Można i wtedy, gdy deklarował: „a ja wcale nie pragnę jakichś zmian i kompletnie mnie strzyka lepsza jakość obrazu czy dźwięku”³⁴, zwłaszcza gdy przypomnimy sobie słowa Stanisława Tyma, że żaden wynalazek technologiczny nie ulepszył człowieka moralnie – nie mówiąc już o najbardziej współczesnych narzędziach usprawniających (w cudzysłowie lub bez) komunikację między ludźmi.

Ale powiedzieć, że w tym wszystkim chodzi o jakiś gruntowny antymodernizm czy antyeuropejskość Stasiuka, byłoby chyba zbyt dużym uproszczeniem. Z pewnością nie brakuje w tym co najmniej szczypty kreacji pisarza, który ma ten komfort, że może bezkarnie nie godzić się na to czy tamto – i z prawa tego korzysta; w tym sprzeciwie przypomina melancholika, którego – jak to mawiano na wschodnich kresach II RP – „nud bierze”, bo mu dawny świat odjechał. To całkiem zrozumiałe, zresztą nie trzeba być pisarzem ani przeciwnikiem „postępu”, by mieć podobne odczucia; nawiązując, choć w okrojonej wersji, do słynnej frazy ukutej przez Leszka Kołakowskiego, wystarczy być zwyczajnym progresywnym konserwatystą (lub na odwrót).

Dwadzieścia lat, jakie minęły od wydania interesującej mnie książki, to niby za mało, żeby zweryfikować stasiukowe obrazy nicości, rozpadu i zapętlenia w czasie, który dla tej części Europy nie przewiduje przyszłości; to niby za mało, by rozleniwiona przydługim antraktem historia wyraźnie przepoczwarzyła się w Historię i dziarskim krokiem ruszyła naprzód (czy raczej wróciła w stare koleiny); to niby za mało, żeby te wszystkie „nierzeczywiste” kraje (a szczególnie tamtejsze wsie i peryferie) zarzuciły plan wypełniania odpowiednią treścią zajmowanej przez siebie przestrzeni, która – jak przekonywał Stasiuk – jest jedynie majakiem, ewentualnie marną imitacją, i by po raz kolejny pesymistycznie zwróciły się ku swemu fatum. Ale i wystarczająco dużo, by podczas ponownej lektury *Jadąc do Babadag* raz jeszcze przemyśleć niektóre z tez uprzednio sformułowanych pod adresem rzeczony książki i jej autora.

Od kilkunastu lat Stasiuk jest już literacko na innej planecie: na nadbuzzańskim i azjatyckim Wschodzie. Od zawsze ciągnęło go w przestrzenie peryferyjne – te małe, bliskie, lokalno-rodzinne, a z czasem również w te wielkie, bezkresno-bezludne. Przez pewien czas Europa Środkowa pasowała do pierwszej z tych figur (czy raczej: ów mikrokosmos był jej częścią) – aż przestała być dla pisarza rodzinną, więc swój azyl (także przed nią samą) znalazł w drugim z tych światów. Środkowoeuropejska prowincja okazała się zatem „tylko” jednym z etapów jego literackiej prozy podróżnej – niezbyt może długim, ale gęstym w obserwacji, projekcji i sentencji. On sam zaś stał się tu kolejnym – obok Antoniego Kroha, Wiesława Myślińskiego czy Rocha Sulimy – archiwistą ludowej niegdysiejszości, nawet jeśli w szerszej skali geograficznej i z akcentem nie tylko na kulturę, ale i naturę. Jako kuszące postrzegam

też ustawienie Andrzeja Stasiuka w gronie postaci takich jak: Péter Esterházy, Danilo Kiš, Milan Kundera, Claudio Magris, Josef Kroutvor i Czesław Miłosz; to za sprawą *Jadąc do Babadag* pisarz ten dołączył do panteonu postaci, które mają nam coś ważnego do powiedzenia na temat tej części Europy.

Jadąc do Babadag jest odchowanim dzieckiem Andrzeja Stasiuka, które ojca już na co dzień nie frapuje; ono poszło w swoją stronę, on w swoją. Ale jest też dzieckiem swoich czasów, toteż interesujące byłoby przeczytać, co na temat opisanych w książce krain mają do powiedzenia dzisiejsi, powiedzmy, trzydziestolatki. Ktoś literacko utalentowany i intelektualnie autonomiczny na tyle, by podejść do tych ziem z własną wrażliwością i na własnych warunkach; ktoś, kto być może w ogóle nie słyszał o dziele Stasiuka; ktoś, kto – tak chyba byłoby najlepiej – poznał klimat peryferyjnych regionów, dajmy na to, Hiszpanii czy Finlandii i mógłby pokazać, na ile dzisiejsza Europa Środkowa różni się od tej spoza ścieżek interesującego nas prozaika oraz jakie znaczenie w odbiorze obu części kontynentu mają miejscowa historia, kultura, geopolityka czy krajobraz przyrodniczy. Jest bowiem jasne, że ziemie te, nawet nieco się „ucywiliłowawszy”, wciąż mają wiele do zaoferowania współczesnym włóczęgom. Kto wie, czy – jeśli chodzi na przykład o fragmenty Bałkanów bądź Mołdawii – nawet nie więcej, niż miały dwie lub trzy dekady temu.

Przypisy

- 1 Andrzej Stasiuk, *Jadąc do Babadag*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2004, s. 8.
- 2 Tenże, *Jadąc do Stambułu*, [w:] *Odessa transfer. Reportaże z nad Morza Czarnego*, red. Katharina Raabe, Monika Sznajderman, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2009; tenże, *Jeżdżąc z Varga*, „Tygodnik Powszechny” 2009, nr 49.
- 3 Milan Kundera, *Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej*, „Zeszyty Literackie” 1984, z. 5.
- 4 Andrzej Stasiuk, *On the Road to Babadag. Travels in the Other Europe*, Vintage, London 2012.
- 5 Por. Marta Cobel-Tokarska, *Lato nad Morzem Czarnym. Narracje współczesnych polskich podróżników*, „Kultura i Społeczeństwo” 2014, nr 2.
- 6 A. Stasiuk, *Jadąc do Babadag*, dz. cyt., s. 31, 37.
- 7 Grzegorz Nurek, Andrzej Stasiuk, *Na Wschodzie bez zmian* (wywiad), „Nowa Europa Wschodnia” 2015, nr 1, s. 7.
- 8 *Wielki Szu*, scen. Jan Purzycki, reż. Sylwester Chęciński, 1982.
- 9 Andrzej Stasiuk, *Opowieści galicyjskie*, Znak, Kraków 1995; *Wino truskawkowe*, scen. Dariusz Jabłoński, Andrzej Stasiuk, reż. Dariusz Jabłoński, 2008; zob. także Marta Cobel-Tokarska, Marcin Dębicki, *Wino o smaku prowincji. Epitafium dla beskidzko-ondańskiej krainy*, [w:] tychże, *Słowo i terytorium. Eseje o Europie Środkowej*, Akademia Pedagogiki Specjalnej, Warszawa 2017.
- 10 Dariusz Nowacki, *Medytacyjna podróż ojczyźniana*, „Tygodnik Powszechny” 2010, nr 48.
- 11 Marcin Dębicki, *Z wędrówek „po oplotkach Europy”. Społeczno-kulturowe oblicze peryferii w twórczości Andrzeja Stasiuka*, „Kultura i Społeczeństwo” 2012, nr 1, s. 86.

- 12 Łukasz Galusek i in., *Rumunia oraz Mołdawia. Mozaika w żywych kolorach*, Helion, Gliwice 2015, s. 450.
- 13 Andrzej Stasiuk, *Fado*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2006, s. 63–67.
- 14 Tenże, *Jadąc do Babadag*, dz. cyt., s. 271.
- 15 Tamże, s. 187.
- 16 Tamże, s. 271, 186–187.
- 17 Lepiszczem tego nastroju była dwunastominutowa kompozycja *A Man of Nomadic Traits* brytyjskiego artrockowego zespołu Pendragon, również osadzona w orientalnych klimatach, z albumu *Not Of This World*, 2001.
- 18 A. Stasiuk, *Jadąc do Babadag*, dz. cyt., s. 68.
- 19 Oczywiście tego typu refleksja nie była beskidzkiemu twórcy obca, o czym świadczy naturalistyczny passus z ochroniarzem jednego z moskiewskich lotnisk. Stasiuk, jakby w obawie, że jego słowa mogłyby zostać uznane za przejaw egzotykcji, od razu dopowiedział: „Proszę się odwalić – nie jestem antyrosyjski. Tak po prostu było”; A. Stasiuk, *Wschód*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2014, s. 122. To obrona przed zarzutem nie tylko o rusofobię, ale i o tanie naigrzywanie się z rosyjskich deficytów kulturowych. Zważmy bowiem, że na głębszym poziomie *Wschód* traktuje o tym, do czego pisarza (przynajmniej w czasie eksploracji tych ziem) ciągnęło i co zapamiętał z wakacji, które w młodości spędzał na mazowiecko-podlaskim pograniczu, a co kilkanaście lat temu przetrwało już tylko na rosyjskiej głębinie.
- 20 Tenże, *Jadąc do Babadag*, dz. cyt., s. 106.
- 21 Tenże, *Jadąc do Stambułu*, dz. cyt., s. 64.
- 22 Tegoż, *Dziennik pisany później*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2010, s. 111–112.
- 23 Tegoż, *Jadąc do Babadag*, dz. cyt., s. 213.
- 24 Krzysztof Varga, *Langosz w jurcie*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2016, s. 219–220, 226.
- 25 A. Stasiuk, *Jadąc do Babadag*, dz. cyt., s. 18, 22–23.
- 26 Tamże, s. 38–39.
- 27 Tamże, s. 85–86.
- 28 Tamże, s. 292.
- 29 Tamże, s. 31, 243–244.
- 30 Tamże, s. 55–57.
- 31 Wszystkie cytaty z tego akapitu: tamże, s. 264, 265, 214, 232.
- 32 Można tu wskazać także na inne „lewicowe” atrybuty Romów, z których część pojawia się w różnych miejscach twórczości Stasiuka: niezgoda na pracę w dziewiętnastowiecznych kapitalistycznych fabrykach czy brak własnych oddziałów zbrojnych (a więc również powstrzymywanie się od zinstytucjonalizowanej agresji wobec innych ludów) czy status grupy wieloaspektowo marginalizowanej. Jednocześnie należy zaznaczyć, że Romów charakteryzują także pewne cechy wyraźnie utrudniające przypisanie ich do „zbiorowości progresywnych”; o jednych i drugich wspomina Małgorzata Budyta-Budzińska w książce *Socjologia narodu i konfliktów etnicznych*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2010, s. 143–145; zob. także Marcin Dębicki, *Cyganie w obserwacjach Andrzeja Stasiuka. Głos w kwestii Europy wielokulturowej*, [w:] *Społeczeństwo wielokulturowe – nowe wyzwania i zagrożenia*, red. Maja Biernacka, Kazimierz Krzysztofek, Andrzej Sadowski, Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku, Białystok 2012.
- 33 A. Stasiuk, *Jadąc do Babadag*, dz. cyt., s. 215.
- 34 Tamże, s. 219.